Dziś i Jutro.



Babka spod Wilna. Fot. PAT.

DWUTYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

ROK XIII POKRZYWNO, 15 PAŹDZIERNIKA 1936 NR. 3

Od redakcji

P. Jerzy Bar. Notatki o książce Jagienki spod Lublina nie umieszczamy, gdyż ma ona znaczenie dla mieszkańców tego miasta, a nie ogólne.

Wiesław Pyrek. Za list i uwagi, w nim zawarte, dziękuję. Chętnie porozumiem się ustnie.

Alina Gronostajska. Bardzobym rada zobaczyć Cię i porozmawiać o różnych planach „Dziś i Jutro", ale teraz (15. X.) wyjeżdżam na parę tygodni. Gdy wrócę do Warszawy, dam znać.

Dr. Jadwiga Dyakowska. Za przysłane artykuły bardzo dziękuję. Ukażą się w najbliższych numerach.

Ewa M. gimn. 440. Piszesz: „Chciałybyśmy chętnie pracować z Redakcją, ale ja przynajmniej nie mam pojęcia, jak, co i kiedy pisze się i wysyła". Otóż — pisze się to, co się chce: coś z życia szkoły, z obserwacji (wiem np. że robisz obserwacje nad stosunkiem ludzi do zwierząt), mogą być jakieś utwory „literackie" — nowelki czy tp., bardzo pożądane są artykuliki z wycieczek z fotografiami, wszystko — żywe, z humorem! A jeśli nie masz nic napisanego, to pożądane są — ładne fotografie. Nadsyłać trzeba przynajmniej na dwa tygodnie przed wyjściem numeru, więc np. do numeru na 15. XI. trzeba przysłać przed 1. XI. Pisać trzeba wyraźnie, po jednej stronie kartki, gdyż tak jest wygodniej dla zecerów.

Cieszę się, że „pisania uwag o bieżących numerach „Dziś i Jutro" podejmujesz się z zapałem" i za już nadesłane uwagi dziękuję serdecznie.

M. Z. Gim. 643. Trudno na odległość dużo Ci pisać o przesłanych wierszach. „Jesień" i „Wrzosy" mają kilka miejsc ładnych, ale forma nie dość opanowana. „Wspomnienie z wakacji" słabsze. Uderza w wierszach dużo momentów malarsko-muzycznych, widocznie masz wyobraźnię wzrokowo-słuchowego typu. Powinnaś dużo poezji czytać, a raczej — studiować.



Mikuś.

Autorowi przyniesiono młodego, okaleczonego przy łapaniu gdzieś, w dziewiczej puszczy, tapirka. „Małe, poczciwe oczy zdawały się mówić do mnie: „Człowieku, na co to? Daj mi już święty pokój. Jestem stracony". Ale zamiast pokoju dałem mu miskę mleka z cukrem. Widok ten zrazu wcale go nie poruszył. Wtedy przyłożyłem mleko do nosa i to mu zapachniało. Wypił całą zawartość miski, poczem głośno i ze szczerym zadowoleniem od serca sobie odsapnął.

Zaprowadziłem go do kuchni. Gdy zajrzałem do niego po godzinie, leżał pod piecem i wygrzewał się na ciepłym klepisku... Teraz już nie chciał zdychać. Pogłaskałem go, a on zaczął mi lizać rękę. Rozpoczęła się nasza przyjaźń." (str. 167).

Hallo! kto lubi zwierzęta — (a któżby ich nie lubił?) niech przeczyta książkę Fiedlera: Zwierzęta z lasu dziewiczego. Fiedler, myśliwy, a później przyjaciel i hodowca zwierząt z brazylijskiej puszczy pisze o swych czworonożnych i dwuskrzydłych znajomych tak miło i serdecznie, że czytanie jego książki to wielka przyjemność... Smutno jest tylko, gdy niektóre z hodowanych zwierząt zdychają, nie mogąc znieść niewoli. Książka nie tylko miła, ale i kształcąca, bo zawiera dużo obserwacji życia zwierząt. Miłe rysunki dopełniają całość, (jeden z nich załączamy).

DZIŚ I JUTRO

DWUTYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

ROK XIII POKRZYWNO, 15 PAŹDZIERNIKA 1936 NR. 3

Wymowa czynów

Duszno. Zapach benzyny. Charkot autobusu.

Jedziemy?

Co zobaczymy? Czy rzeczywistość, która się ukaże naszym oczom, nie będzie zaprzeczeniem tego, cośmy sobie w naszych sercach wyidealizowali, co pragniemy zobaczyć?

Droga dłuży się rozpaczliwie.

Przejeżdżamy najpierw ulice Kalisza, dostajemy się wreszcie na szosę, która doprowadzi nas do Liskowa. Szosa obsadzona drzewami owocowymi, których gałęzie uginają się pod ciężarem jabłek i gruszek. Mijamy Opatówek, zatrzymujemy się dłużej w Koźminku, to już ostatni przystanek przed Liskowem.

Nareszcie. Wydobywamy się z autobusu na szosie przed sierocińcem. Po lewej stronie stoi olbrzymi gmach murowany, w nowoczesnym stylu, z tarasem na górze, a po prawej szereg pawilonów drewnianych. To sierociniec. W roku 1920 przywieziono tu z Białegostoku 800 sierot, ofiary wojny i najazdu bolszewickiego. Całą tę sierocą armię umieścił ks. prałat Bliziński, proboszcz Liskowa, początkowo w namiotach, potem w drewnianych pawilonach, które dotrwały do chwili obecnej. Z biegiem lat zmniejszyła się liczba sierot, gdyż po skończonej wojnie inne sierocińce mogły przyjść z pomocą, ale część pozostała w Liskowie i dla nich ks. prałat obmyślał coraz to nowe ulepszenia. Opiekę nad sierotami objęły w r. 1921 SS. Służebniczki. Najmłodsze dzieci uczęszczały do przedszkola, starsze do szkoły powszechnej, najstarsze do szkół zawodowych. Trzy lata temu wybudowano wspaniały gmach dla sierocińca dziewczęcego. Niedługo zapewne i chłopcy otrzymają swój własny pawilon murowany.

Mimowoli nasuwa nam się pytanie, w jaki sposób Lisków mógł sprostać ciężkim obowiązkom utrzymania tylu sierot, w jaki sposób mógł taką gromadę dzieci wyżywić, odziać, wyprowadzić z namiotów do wspaniałych domów?

Pewnie rząd dawał zapomogi. Ale do tych nikłych środków materialnych dołączyła się czyjaś żelazna wola, dołączyło się czyjeś gorące serce.

Chodźmy dalej.

Ulice wyłożone kostką, przy ulicy wąski trotuar. Po obu stronach wieśniacze chaty, otoczone ogródkami pełnymi kwiatów. Domy drewniane lub murowane. Od czasu do czasu przechodzimy obok domu, który dopiero wznosi w górę swoje ściany z czerwonej cegły. Tu buduje się hotelik dla gości. Tam gospodarz wystawia sobie nowy dom mieszkalny. O cegłę nietrudno, dostarcza ją liskowiczanom cegielnia spółdzielcza. Praca wre, bo Lisków szykuje u siebie wystawę i chce przed całą Polską pokazać, co posiada.



Lisków. Szkoła hodowlano-rolnicza.

Przed jednym z domów na lewo od drogi panuje wielki ruch. Zajeżdżają furmanki, na których lśnią w słońcu pękate banie mleka. To mleczarnia. Liskowianie odstawiają mleko do mleczarni spółdzielczej, gdzie przerabia się je na masło. Dostawca otrzymuje tylko należność za procent tłuszczu, a mleko po oddzieleniu śmietanki odbiera z powrotem. Mleczarnia przerabia dziennie około 6 tys. litrów mleka, jest urządzona nowocześnie, pracuje maszynami.

Za mleczarnią czerwieni się cały kompleks gmachów. To centrum życia spółdzielczego w Liskowie: sklep spółdzielczy, bank ludowy, dom ludowy, piekarnia spółdzielcza, wędliniarnia. W sklepie można wszystko dostać, wszystko — ale tylko wyroby polskie. Sklep spółdzielczy kupuje w hurtowniach spółdzielczych, nie ma w Liskowie ani jednego Żyda i ani jednego towaru kupionego w hurtowni żydowskiej. Obroty sklepu i wytwórni spółdzielczych dochodzą miesięcznie do 40 tysięcy zł. Większe przedsięwzięcie spółdzielców finansuje bank ludowy. Rzeźnię i wędliniarnię wydzierżawiono osobie prywatnej. Natomiast piekarnia spółdzielcza rozwija się wspaniale, wypiekując dziennie około 900 kg chleba i bułek.

Szereg przedmiotów wytwarza szkoła zawodowa i szkoła rzemiosł: dział tkacki i trykotarski u dziewcząt, dział zabawkarski, stolarski, ślusarski i krawiecki u chłopców. W szkole rzemiosł podziwiamy pomysłowość niektórych zabawek. Oto pojazd z koniem, który zgina wszystkie cztery nogi, a tu kury dziobiące ziarno na desce, tam znowu Żyd równomiernym ruchem wahadłowym kiwający się nad talmudem. Podobno wycieczki przyjeżdżające do Liskowa rozchwytują wszystkie te zabawki. Nie dziwimy się im wcale.

Łódzka Izba Rolnicza utrzymuje w Liskowie szkołę hodowlaną. Korzysta z niej co roku kilkudziesięciu chłopców. Przy szkole istnieje stajnia, obora, chlewnia, kurniki — teren doświadczalny dla uczniów. W szkole powszechnej cały gmach tętni życiem, bo kilkaset dzieci uczęszcza do niej, skupiając się nadto w organizacjach nadobowiązkowych — przy sklepiku spółdzielczym, w samorządzie, w orkiestrach.

Ale zajrzyjmy jeszcze do instytucji, w których niepodzielnie króluje miłosierdzie. To stacja opieki nad matką i dzieckiem. Tu doktór z ośrodka zdrowia udziela porad lekarskich, tu Siostra higienistka rozdaje mleko dla biednych niemowląt (około 30 litrów dziennie). Wszędzie biało i czysto. W przedpokoju zwraca naszą uwagę duży rower. To środek lokomocji dla Siostry pielęgniarki, która w promieniu 20 klm. od Liskowa odwiedza chorych, wyszukuje tych, którzy potrzebują pomocy lekarskiej, a nie zgłosili



Pawilon dla dziewcząt Zakładu Wychowawczego w Liskowie.

się sami po nią, zawozi biednym dobre słowo, życzliwą radę, a w razie potrzeby i pomoc materialną. Ciężko chorzy znajdą opiekę w szpitaliku położonym opodal sierocińca. Można tam chorować na wszystko... Można się tam poddawać wszelkim operacjom.

Pan doktór jest doskonałym chirurgiem, a Siostra doskonałą asystentką. Kilka sal szpitalika może pomieścić 30 chorych, a w razie potrzeby pomieści i więcej. Na razie jest pusto, jeden tylko chory leży po ciężkiej operacji i kilka lżej chorych osób uśmiecha się przyjaźnie do zwiedzających. Trudno opisywać wszystko. Trzebaby całe księgi skreślić, by dać obraz rzeczywistości. Gdy jechaliśmy do Liskowa, zajmowały nas przedewszystkiem dwa problemy — co było przyczyną jego rozwoju? czy to wszystko nie jest czymś sztucznym, nienaturalnym na pokaz tylko?

Lisków, to zwyczajna wieś polska, położona na mało żyznych gruntach, z dala od miasta, wieś do niedawna biedna i ciemna; bogacili się w niej tylko karczmarze i pachciarze. To parafia, nad którą księża proboszczowie ręce łamali, dokąd jechało się jak na katorgę. A dziś — to „wzorowa wieś", kulturalna, czysta, skanalizowana, oświetlona elektrycznością. Te dwa tak różne światy łączy jedna wstęga — życie ks. Blizińskiego. W r. 1900 przybył on do Liskowa jako młody kapłan, wykrzesał pierwszą iskrę życia kulturalnego, pierwszy sklep spółdzielczy. Dziś sędziwa głowa księdza prałata pochyla się nad grubą księgą, gdzie zapisane są tysiące nazwisk tych, co przyjechali do Liskowa podnieść jego dzieło. Już iskra zapaliła wielkie ognisko, już bucha potężnym płomieniem.

— Jedno wypływało z drugiego — mówi ks. prałat. — Były wprawdzie trudności, ale najważniejszą rzeczą jest wytrwałość. Wytrwałością można wiele zrobić.

Trudno mówić z ks. prałatem o jego zasługach.

— Ja miałem swoje trudności do pokonania, to prawda, ale i wy macie swoje, każdy robi co może.

Co chwila odrywają ks. prałata od rozmowy. Bo też ks. prałat jest duszą i sercem Liskowa. Ma swoje godziny w kancelarii sierocińca, odwiedza szpital, kieruje odnawianiem kościoła, czuwa nad wszystkimi najważniejszymi sprawami. Ale swoją indywidualnością nie krępuje nikogo, zostawia poszczególnym instytucjom swobodę działania, możność indywidualnej inicjatywy i swoistego rozwoju. Jest nad wyraz prosty i skromny.

— Nie umiem ani pięknie pisać — powiada o sobie — ani pięknie mówić.

Prawda, że wielkość ks. prałata Blizińskiego nie leży w dziedzinie ani mów, ani pism. Lisków dzisiejszy — to fakt, to rzeczywistość. Jedno w nim szczególnie uderza — brak wszelkiej blagi. W Liskowie nie ma nic na pokaz, nic dla olśnienia oczu zwiedzających. To co jest, jest stworzone przez życie, które samo domaga się tej czy innej instytucji. Nie instytucje wywołują odnośne zapotrzebowania, ale odwrotnie, z zapotrzebowań rodzi się instytucja. Ksiądz prałat nie narzuca swoich pomysłów, on tylko tworzy dla swoich parafian to, czego się ich życie domaga. Będąc w Liskowie, jesteśmy w prawdzie i to nas zajmuje, to nam właśnie przede wszystkiem imponuje.

Chciałoby się powiedzieć księdzu prałatowi jakieś słowa podziękowania, wypowiedzieć swój podziw. Ale słowa zamierają na ustach, bo czymże są słowa, wobec tej przepotężnej wymowy czynu? Czujemy się bardzo, bardzo mali. Rozumiemy teraz prawdziwą i jedyną wymowę rzeczywistej wielkości — miłość i czyn.

M. Bonifacja O. S. U.



Dzieci ulicy

Każdego, kto ze śródmieścia Warszawy zapędzi się w uboższe i dalsze krańce miasta — Wolę, Marymont, Stare Miasto itd., uderza od razu wielka liczba dzieci snujących się po ulicy. Wprawdzie dzieci w Polsce nie brak nigdzie, ale tam jest ich istne zatrzęsienie. Nie dowodzi to bynajmniej, by ulice te były specjalnie uprzywilejowane pod względem bogactwa urodzin; fakt ten tłumaczy się raczej nędzą mieszkańców i zastraszającymi warunkami mieszkalnymi, które sprawiają, że całe niemal życie dzieci przenosi się z konieczności z domów — na ulicę.

Dzieci ulicy... ulicznicy... zna ich każde większe miasto... Całe bandy, gromady wrzaskliwych, ruchliwych „obywateli świeżego powietrza" zalegają wąskie zaułki, ciasne przejścia, place i ulice, stanowiąc plagę spokojnych mieszkańców, utrapienie policji i postrach sprzedawców ulicznych.

Bezdomne łazęgi, czują się wszędzie pewnie, mocno i u siebie. Nie obejdzie się bez nich żaden wypadek, żadna sensacja podwórkowa. Pełno ich na każdej uroczystości publicznej, znają z widzenia wszystkich dostojników i dygnitarzy. W ścisku i tłoku czują się najlepiej: z zadziwiającą zręcznością przemykają się między szeregami samochodów i dorożek, wypadają tuż przed kopytami końskimi i nie ma tak ścisłego kordonu, przez który nie zdołaliby się prześlizgnąć. O wszystkim wiedzą, słyszą, o wszystkim mają swój własny, wyrobiony sąd...

Przeważnie weseli i niefrasobliwi, jak szczygły, umieją być także dokuczliwi i uprzykrzeni, jak muchy. Wielu z nich ma w sobie jakąś pierwotną, bezmyślną, prawie zwierzęcą złośliwość, która ujawnia się zwłaszcza w stosunku do słabych, bezbronnych i upośledzonych. Lubią męczyć zwierzęta, niszczyć kwiaty, łamać gałęzie drzew itd. Widok obłąkanych, kalek i starców, otoczonych zgrają napastliwych dzieci, przezywających ich, wyśmiewających i poszturchujących bezkarnie, stanowi jeden z boleśniejszych obrazów ulicy.

Czy można je za to winić i potępiać? Jak mogą być inne, niż są, kiedy większość z nich wychowuje się prawie samopas na ulicy, bez żadnej opieki. Kto je uczy, kto nad nimi czuwa, kto nimi kieruje? Ojciec? Matka? Ależ ojciec spędza cały dzień poza domem na pracy, a matka albo także chodzi na roboty, albo ma dosyć swego zajęcia w domu z gotowaniem, praniem, reperacją, a nierzadko z niemowlęciem w kołysce. Od chwili, kiedy dziecko poczyna chodzić, pozostawione jest prawie wyłącznie sobie. Rola matki ogranicza się już głównie do przygotowania mu jedzenia, do przypilnowania umycia i ubrania i to nie zawsze. Uwagi, zwracane dziecku, dotyczą najczęściej tego, żeby nie hałasowało, nie plątało się pod nogami, nie zawadzało w domu i nie niszczyło ubrania. Więc dziecko wymyka się skwapliwie z domu, wałęsając się cały wolny czas po ulicy ze starszym rodzeństwem, albo kolegami, których przykład pozostawia przeważnie wiele do życzenia. Cóż więc dziwnego, że w takich warunkach dzieci łatwo wypaczają się.

— Cóż rozumieją te dzieci — wołał z przejęciem O. Lamy († 1931 r.) niezawodny opiekun i przyjaciel młodzieży, zwany żartobliwie „proboszczem uliczników", broniąc swych młodocianych pupilów przed sędzią, — słuchają pół godziny nauk biednego księdza, a przez tyle godzin mają zły przykład przed oczyma. Miejcie litość, panowie!

W szkole, świetlicach i patronatach stanowią dzieci ulicy niesforny i bardzo trudny do utrzymania element. Wiadomo, życie ulicy nie sprzyja rozbudzeniu karności i posłuszeństwa. Zresztą, ścieśnione i ograniczone w ruchach w domu, gdzie w maleńkiej klitce mieści się nieraz dziesięć osób różnego wieku, uważają one ulicę, szkołę i świetlicę za miejsce, w którym mogą się wydokazywać do woli i dać ujście tłumionej energii życia. Ten nadmiar żywotności staje się nieraz przyczyną poważnych trosk i kłopotów dla wychowawców, choć ogólnie element ten jest zdolny, sprytny i bystry. I jeśli się umie ująć go w ręce, a zarazem chwycić i za serce, sprawa jest przesądzona i mimo wszelkich trudności praca rozwija się i może dać poważne wyniki. Szkoła może tu zrobić dużo — i robi faktycznie dużo.

Chcąc otrzymać pełny obraz dziecka ulicy — trzeba jeszcze koniecznie zobaczyć je w domu. Jest ono tam zupełnie inne niż na ulicy lub w szkole: jakieś wiecznie wystraszone i zagubione. Nie ma w nim ani śladu ulicznej swady, zuchowatości i beztroski. Najniesforniejsze dzieci, których w szkole nie podobna przez chwilę utrzymać w spokoju, najbardziej wygadane łobuzy, gotowe na ulicy skoczyć każdemu do oczu, w domu stają się przeważnie potulne i wpatrują się nieruchomo w obcych przybyszów, którzy traciliby na próżno czas, gdyby zechcieli z nich jakie swobodniejsze słowo wydostać. Najwięksi spryciarze, płatający złośliwe figle przechodniom, tracą rezon i bledną na krzyk zagniewanej matki, albo wzniesioną pięść ojca. Nic dziwnego. W domu, gdzie wszyscy członkowie są przemęczeni pracą, a zgnębieni ciągłym niedostatkiem, nikt nie bawi się w długie przemowy, przestrogi i napomnienia. Wy-

miar kary następuje zaraz po przewinieniu, a czasem i bez niego, ot, poprostu dlatego, że ojciec, czy matka, nawet kochający prawdziewie swe dziecko, wyprowadzeni z równowagi warunkami wewnętrznemi, czują potrzebę wyładowania na kimś swego gniewu, a dziecko... właśnie nawinęło się pod rękę.

Dzieci odczuwają doskonale każdą niesprawiedliwość. Jeśli przyjmą one bez szemrania i żalu, nawet ostrą, ale zasłużoną karę, to lekki szturchaniec, otrzymany bez poczucia winy, napełnia je goryczą i gniewem, który przy pierwszej sposobności postarają się z kolei wyładować na kimś słabszym od siebie.

Kto nie widział paru przynajmniej takich nędznych nor, klitek — suteryn i poddaszy, gdzie gnieżdżą się jedne na drugich całe rodziny, ten nie zrozumie nigdy duszy dziecka nędzarzy, ani jego uczucia, kiedy z zaduchu i ciasnoty, spod spojrzeń znużonego ojca i zapracowanej matki, wymknie się wreszcie na swobodę, na wolną, szumiącą życiem ulicę. Trzeba znać te mieszkania i ich mieszkańców, żeby móc należycie i bezstronnie osądzić dzieci ulicy. Drewniana buda bez okien, wilgotna, zaciekająca suteryna, strych bez przewiewu, brudne, duszne izby, oto, gdzie przychodzi na świat i gdzie się wychowuje większość dzieci ulicy. Maleńką klitkę, w której mieszczą się z trudem dwa brudne barłogi, koślawy stolik, krzesełka stojące nierzadko na trzech nogach i kuchenka w rogu, zamieszkuje sześć, osiem, dziesięć nieraz osób. Na jedno łóżko przypada po trzy, cztery osoby. Nie ma sposobu oddzielenia zdrowych od chorych, nie ma możności uniknięcia zarazy, kiedy choć jeden członek rodziny zachoruje. Nie można się poruszyć, żeby jedno drugiemu nie zawadzało. Nie można przejść przez pokój, żeby kogoś nie potrącić, czegoś nie przewrócić. Powietrze ciężkie od zapachu jedzenia gotującego się na płycie, od wyziewów pranej bielizny i suszących się pieluch.

To nie fantazja i nie bajka, a obrazy zbyt znane, niestety, i często spotykane w życiu. Dzieci, które na ulicy i w szkole, zarumienione od ruchu, podniecone wrażeniami i wrzawą, mogą zmylić niejedno oko, w domu dopiero okazują całą swą nędzę, zabiedzenie i chudość. Większość z nich ma zapadłe policzki, podsinione oczy i zielonkawą bladość twarzy. Anemia, gruźlica, cierpienia żołądka i serca — to choroby bardzo rozpowszechnione.

To tło i te ramy rodzinne tłumaczą i wyjaśniają bardzo wiele. Kiedy się zobaczy i przeniknie tę nędzę, łatwiej jest potem zrozumieć wiele wybryków dziecięcych, ich nieoczekiwane wyskoki, rozprzężenie i nieopanowanie, gdy się tylko poczują trochę na swobodzie. Jest to nieunikniona reakcja po smutnym życiu domowym. Odprężenie. Zapomnienie. Oderwanie się od gniotącej rzeczywistości. Uczucia nie obce i starszym, choć nie zawsze przez nich uświadomione.

W świetle tej właśnie szarej, rozpaczliwej codzienności nabierają przedziwnego wyrazu i wymowy pewne strzępy rozmów i uwag, drobne scenki, rozgrywające się między uczniami, a wychowawcami i nauczycielami szkół, świetlic i patronatów.

— Dlaczego nie byłeś wczoraj w szkole? — pada pytanie.

— Nie mogłem...

— To nie jest odpowiedź, wytłumacz się jaśniej.

— ...

— Chory byłeś?

— Nie.

— Potrzebny byłeś w domu, pomagałeś rodzicom?

— Nie.

— Więc cóż w końcu?

— Mój brat także chciał iść do szkoły...

— No, więc?

— Mamy jedną parę butów na nas obu — brzmi wreszcie niechętna odpo-

wiedź, (i dziecko nędzarzy ma też czasem swoją dumę) — jak brat wychodzi, ja muszę siedzieć w domu... A wczoraj było zimno i padał deszcz...

— — — — — — — — — — —

— Jeżeli jutro przyjdziesz znowu z brudnymi rękoma i nie umytą szyją, odeszlę cię do domu.

Chwila ciszy i nieśmiała próba wytłumaczenia:

— U nas w domu od dwóch tygodni nie ma wcale mydła...

— — — — — — — — — — —

— Jakto, jeszcze nie zjadłaś jednego kawałka, a już prosisz o drugi? — pyta opiekunka rozdzielająca dzieciom bezpłatne podwieczorki w świetlicy.

— Jeden chciałam sama zjeść, a drugi zanieść młodszej siostrze... ona już dawno nic prócz kartofli i suchego chleba nie jadła.

— — — — — — — — — — —

— Nie mogę przyjmować takich brudnych zeszytów — karci czasem nauczycielka, odsuwając zatłuszczony kajet, czy książkę i słyszy zawstydzone usprawiedliwienie:

— Mamusia chlapnęła niechcący zupą na zeszyt, — albo tatuś wylał herbatę na książkę, itd.

Bo i jakże się może obyć bez wypadków, kiedy na dziesięć osób w izbie jest tylko jeden stolik, a i ten ma koślawe nogi.

— — — — — — — — — — —

A rozmów takich możnaby przytaczać wiele, bez końca...

Wanda Kieszkowska.

Na marginesie artykułu: „Dzieci ulicy"

Wszyscy mamy dosyć ckliwych ubolewań nad nędzą ludzką, czułych łezek, wylewanych na uperfumowany papier... Takie współczucie, to parodia, która nie znajduje oddźwięku w naszych sercach, takie artykuły możemy spokojnie czytać, leżąc na kanapie, jedząc cukierki — a najczęściej — nie czytamy ich wcale... Jest w nich coś ze świadomego — lub nieświadomego kłamstwa życia.

— A jednak.

Jednak bieda ludzka, to coś, z czym stykamy się co dzień mniej lub więcej bezpośrednio, choćby wtedy, gdy mijają nas w naszej wędrówce do szkoły, czy ze szkoły setki ludzi. Jeżeli chcemy patrzeć, widzimy tej biedy dużo. Ale czy staramy się poznać ją bliżej, zrozumieć i wspomóc? Czy też odwracamy oczy, by nie psuć sobie życia?

Artykuł „Dzieci ulicy", pisany z doświadczenia życiowego, może pobudzić tych, co umieją się zastanawiać, do głębszych refleksji. A refleksje poważne — i odważne, gdy nie boimy się naruszyć własnego lenistwa i krótkowzrocznego egoizmu, prowadzą do czynu. Pamiętajcie, nie wolno skończyć na refleksji, zwłaszcza teraz, gdy zaczęły się słoty i chłody, a wy macie porządne buty i ciepłe płaszcze na zimę...

To nieprawda, że nie możecie nic zrobić: jakże pomysłowe jesteście, gdy chodzi o zebranie „forsy" n. p. na wycieczkę. Jesteście wtedy pomysłowe, bo zależy Wam na wycieczce... Czy nie zależy Wam na Waszych potrzebujących współbraciach?

Chcę Wam podsunąć parę projektów: zajrzyjcie w domu do starych rzeczy, na pewno znajdzie się tam coś, co po zacerowaniu i załataniu może jeszcze komuś służyć. Możnaby się zebrać w klasie lub świetlicy szkolnej, n. p. w sobotnie popołudnie, by razem, w gromadzie, przy rozmowie czy głośnym czytaniu ponaprawiać te rzeczy. Ale jedno zastrzeżenie: pocerujcie Wy, nie Mamusia, bo to nie sztuka dawać ze słodką miną aniołka — z cudzej kieszeni i pracą cudzych rąk...

Niech delegatka z klasy pójdzie do „Caritas", jest ono w każdym większym mieście; dowie się tam, że „Caritas" przyjmuje dla biednych różne rzeczy: stare zabawki, skrawki materiału, guziki, książki itp. Te rzeczy albo się przerabia tak, by mogły służyć biednym, albo zużytkowuje się je w sposób bardzo pomysłowy na wyrób przedmiotów, które, spieniężone, zasilają kasę dla biednych.

A czy widziałyście kiedy bibliotekę dla uliczników? Każde dziecko, które do takiej biblioteki przychodzi, może z niej wypożyczać zupełnie bezpłatnie książki do czytania. Zapewniam Was z doświadczenia, że biblioteka taka jest dla setek dzieci prawdziwym dobrodziejstwem, teraz zwłaszcza, gdy nadchodzące chłody uniemożliwią zabawy na dworze.

Czy na Waszych półeczkach w domu nie stoją jakie książki przeczytane już — niepotrzebne Wam? Czy mają tam stać bezużytecznie, gdy setki dzieci pragną coś czytać? Dajcie im te książki; dajcie ochotnie. Wyczyśćcie je, jeśli się przybrudziły, sklejcie, jeśli są naddarte, a jeśli są całe i czyste, tym bardziej się cieszcie, że będą służyły innym dzieciom.

Jeśli w Waszym mieście biblioteka dla uliczników nie istnieje, można ją założyć, czytelnicy znajdą się napewno! Ale radzę zabrać się do tego z pomocą kogoś starszego, bo trzeba tu trochę doświadczenia życiowego.

Wiem, że w szkołach często są klasy, które opiekują się jakąś biedną rodziną. Trzeba pamiętać, że w miesiącach o trudniejszych warunkach bytu i ta opieka musi być intensywniejszą.

A może w kamienicy, w której mieszkasz, jest jakieś dziecko niezamożne. Nauka idzie mu trudno, bo chorowało, mało zdolne, a może poprostu — nie ma gdzie lekcji przygotowywać. Nie szukaj wtedy tego, komubyś mogła czynić dobrze — na księżycu i w obłokach — ale czyń dobrze t e m u dziecku. A może jest ono Twoją koleżanką ze szkoły? Czyńcie dobrze, ile możecie, jak możecie a będzie wtedy i Wam — dobrze.

A na ostatek, radzę Wam jeszcze przeczytać książkę Boguszewskiej: „Ci ludzie".

Red.

Niech żyje Wilno!

(Ciąg dalszy)

Musimy kilka minut czekać na statek do Werek; dyskutujemy tymczasem nad pomnikiem, a raczej projektem pomnika Mickiewicza, stojącym na przeciwległym brzegu, prawie naprzeciwko przystani.

Projektował pomnik Pronaszko. Myślę, że gdyby zacny Mickiewicz wstał z grobu, pan Pronaszko miałby się z pyszna! Mam też to święte przekonanie, że choćby Adaś ani cienia próżności nie posiadał, postarałby się, aby pewnej pięknej nocy pomnik zczezł z powierzchni ziemi, jak mary z „Dziadów", bo taki, jaki jest, może się doprawdy przyśnić komu w nocy... Okropność! Olbrzymia skrzynia z desek, dziwacznie brzydka, choć trzeba przyznać, jest w niej coś z mickiewiczowskiej głowy — i być może, są tacy, którym się to podoba. Przecież już od starożytności: „de gustibus non est disputandum".

Pocieszam się tym, że projekt nie uzyskał apbrobaty wilnian (zacni wilnianie, jakże uściskałabym ich za to) — i że — deski z których pomnik prowizoryczny jest zrobiony, zgniją z czasem...

A propos pomnika Mickiewicza w Wilnie, różne tam bywały historie i historyjki — między innymi z projektem rzeźbiarza Kuny i z wypchaną kuną, ale, nie wszystkie się da pisać. W każdym razie prawdziwego pomni-



Wilia pod Werkami. Fot. PAT

ka nie doczekał się dotąd Mickiewicz w swym ukochanym Wilnie.

Na szczęście, statek rusza i mamy pomnik już za sobą. Mijamy ostatnie zabudowania. Brzegi Wilii ładne: łąki, lasy, wille; na rzece roi się od czekoladowobarwnych kajakowców.

Zbliżamy się do dużej plaży: na piasku pełno rusałek i rusałów o wadze 70—90 kg (et ultra...) Miejscowość zwie się od wieków Wołokumpia, ale, odkąd wyjazdy do różnych badów zostały utrudnione, „nasi" z Wilna napływają tu licznie, to też Wołokumpia zyskała odpowiednio europejską nazwę: Ochsenbad.

Znów lasy i wzgórza. Mijamy kościółek z pałacem arcybiskupim, z dala widać już Werki: wysoka góra tonąca w zieleni.

Wysiadamy i maszerujemy ze 20 minut ładną drogą, niby lasem, niby parkiem. Na szczycie góry pałac klasycystyczny z końca XVIII w., niestety, nie możemy wejść do środka, bo „pan hrabia" wyjechał i wtedy nie wpuszczają; podobno wewnątrz są ładne meble i obrazy. Przez wybitą szybę zaglądamy przynajmniej do oranżerii pałacowej, gdzie kwitnie właśnie pysznym, żółtym kłosem jakaś palma. Zawieramy też znajomość z psami pałacowymi.

Na środku bujnego zielenią i kwiatami gazonu bije perlisty deszcz fontanny. Cudowny, uroczy raj ziemski, jak gdyby nie było nigdy wojen, granicy litewskiej, w pobliżu bolszewików, ograbionych i zrujnowanych dworów. Z jednego miejsca w parku piękny widok z góry na Wilię i odległe o 10 km Wilno. Robimy zdjęcia; — niestety cały film zepsuł się, — każda zapewnia, że chciałaby tu mieszkać — ja także, a jakże...

Aha, jeszcze były w Werkach źrebaki, które skonsumowały bez żenady lwią część naszych podwieczorków i był osioł, taki poczciwy kłapouch, co węszył i kiwał głową, by i jemu coś dać.



Wornikiele pierwsze koło Trok. Michał Bachanowicz.

Fot. Wanda Zdzienicka

Powrót do Wilna. Szorowanie się. Dobrze, że te artezyjskie studnie, zaopatrujące miasto, mają dość wody nawet latem!

A jutro Troki, póki pogoda. Co prawda, to nam ta pogoda aż zanadto dopisała do samego końca, ale któż ma dar jasnowidzenia?

Autobus zamówiony na godz. 9-tą zjawia się punktualnie. Nominalnie, autobus na 14 osób, ale upchać wolno i więcej, a można to zrobić bez trudu. Kosztuje ta przyjemność — to znaczy: autobus — 40 zł. za cały dzień: kto umie dzielić, dośpiewa sobie potrzebną resztę w duszy. Jedziemy.

Coś bajecznego te okolice Wilna; gdyby nie to, że właśnie, jak to bywa, w sezonie wycieczek naprawiają szosę, byłaby jazda bez „ale". Tymczasem

„ale" jest; to pędzimy z szybkością 60 km. na godzinę, to musimy jechać cierpliwie krok w krok za furmankami z sianem, kurczętami i innym kwiczącym i gdaczącym dobytkiem, bo na szosie tylko wąziutki pasek został do użytku jadącym. Wreszcie droga dobra: autobus wjeżdża na góry, mknie w dół serpentynami wśród zieleni lasów i złota pól, z lśniącą wstęgą Wilii na prawo. „Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!" Robimy po drodze godzinny wypad na wieś, zwiedzamy parę chat, gawędzimy. Częstują nas pysznym czarnym chlebem pieczonym na liściach kapusty i słodkim mlekiem. Oglądamy urządzenie wewnętrzne chaty i znać dbałość o porządek i estetykę, choć mniej tu i w strojach, i w chacie barwności, niż np. w krakowskim czy łowickim. Ale za to naprawdę barwna wszelkimi barwami dobrego, prostego, szczerego serca jest gościnność, z jaką zetknęłyśmy się wszędzie w Wilnie i pod Wilnem, u chłopów czy inteligencji. Doznawałyśmy życzliwości, pomocy, gościnności naprawdę kresowej na każdym kroku. Z wielu znanych mi miast Polski dorównuje pod tym względem Wilnu tylko kresowy Lwów. Miłego wrażenia rozmowy z prostym chłopem ze wsi Wornikiele pierwsze koło Trok, Michałem Bachanowiczem, nie zapomnę chyba długo: tak nam był serdecznie rad, częstował, czym mógł, jeszcze na drogę ofiarował koszyk własnej roboty.

Troki. Idziemy wprost do jeziora, opadnięte od razu przez chmarę przewoźników. Chciałyśmy jeździć po jeziorze motorówką, bo to podobno bezpieczniej, ale łódkarze argumentują, że motor popsuł się właśnie wczoraj, że łódką bezpieczniej, bo motor czasem na środku jeziora staje itd. itd. Co prawda, najwięcej nas przekonywuje argument, że po motorówkę trzeba dopiero dojechać łódką do jednej z wysp, do schroniska L. M. K. Siadamy więc w łódki i teraz zaczyna się kilkugodzinna baśń na jawie. Słońce leje potoki rozpalone na nasze głowy, gra barwami na wodzie niewinnie przejrzystej przy brzegach, groźnej, czarnej na środku, nad kilkudziesięciometrowymi głębiami. Brr! Jest w czym utonąć!

Na chwilę wysiadamy na wyspie z ruinami zamku, ponoć Gedyminowego, z XV w. Stary stróż zbiera po 10 gr. na konserwację zamku, a towarzyszący mu piesek zbiera, co łaska, na własny żołądek.

Widoki z ruin i na jeziorze — cudowne. Woda, woda — i jeszcze raz woda, w obramieniu lasów i łąk. Jezioro ma kilka kilometrów długości. Miejscami las schodzi aż w wodę, jak egzotyczne namorzyny, zielenią ciemną, wilgotną, pachnącą iłem, splątaną konarami i korzeniami.

Wśród lasów bieleje biały, stylowy pałac Tyszkiewiczów, schodzący terasem aż do samego brzegu. Przewoźnik opowiada nam, że „starsza pani" z pałacu jest bardzo dobra dla swych sąsiadów z wiosek, wiem także od znajomych, że pałac otwiera się nieraz gościnnie dla wycieczek. Do części brzegów przylegają Troki, leżące właściwie na wyspie oblanej z dwu stron jeziorami a połączonej wałem z lądem.

Upite zapachem wody, oślepłe od blasków i refleksów słonecznych wychodzimy z łódek i prostujemy nogi.



Wornikiele koło Trok. Chata chłopska.

Fot. Wanda Zdzienicka



Troki. Widok z ruin zamku na jezioro.

Troki mają jedyną w Polsce gospodę karaimską, wolimy jednak dać zarobek Polakowi, więc idziemy do polskiej „restauracji" (nazwa dziesięciokrotnie za wspaniała...); kusi nas ogłoszenie: „dziś lody", okazuje się jednak, że właśnie dziś lodów nie ma. Ale upał jest! Uf! Rade, nierade zadowolić się musimy herbatą bez cytryny i kwasem chlebowym, a potem wyruszamy obejrzeć Troki.

Zwiedzamy Kenessę karaimską, gdzie w oryginalnym ołtarzu królują tablice dekalogu. Nad nami jest chór dla kobiet, którym nie wolno modlić się na dole z mężczyznami. Nadszedł tymczasem duchowny zwany hakamem, tj. mędrcem; z rozmowy okazało się, że jest on naczelnym duchownym wszystkich karaimów na świecie, później dowiedziałyśmy się, że nasz nowy znajomy z Trok jest także profesorem Uniwersytetu w Wilnie. Dowiedziałyśmy się od niego wielu ciekawych rzeczy o karaimach. Przybyli oni do Polski prawdopodobnie sprowadzeni z Krymu przez Witolda, uważają się za pochodzących od chazarów, dziś językowo najbliżsi są Turkom. Obecnie główną siedzibą karaimów polskich są Troki, na całym świecie jest ich w sumie kilkanaście tysięcy. Podobno karaimi polscy odgrywają teraz pewną rolę w naszych stosunkach z Turcją, przynajmniej tak nam mówił hakam. Miło nam też było słyszeć z jego ust pochwały dla tej tolerancyjności i gościnności, jaka cechowała zawsze państwo polskie w stosunku do obcych przybyszów.

Z dawnych rycerzy przekształcili się teraz karaimi w dobrych ogrodników handlowych itp., dużo też wśród nich inteligencji zawodowej. Na pierwszy rzut oka karaimi podobni są bardzo do Żydów, ale zaliczenie do Żydów uważaliby za największą obrazę. Wyznają wprawdzie religię mojżeszową, ale nie przejęli późniejszych dodatków, jak Talmud i stąd między nimi a Żydami bardzo żywy antagonizm.

Zaszłyśmy w Trokach także do jednego z domostw polskich, z rozmowy z gospodarzami dowiedziałyśmy się, że w Trokach posiadaczami ziemi są przeważnie karaimi, znani z wysokiego poziomu warzywnictwa, a zwłaszcza ze słynnych ogórków karaimskich. Nasz gospodarz uprawia grunta karaimskie, w zamian za co dostaje część plonów. Ma nadto krowę, którą odwiózł na całe lato na jedną z wysp jeziora i żona dojeżdża tam codzień łódką na dojenie. Oglądamy wileńskie płócienka własnego wyrobu, kilka serdecznych słów pożegnania i wracamy do czekającego już na nas autobusu. Żegnajcie Troki!

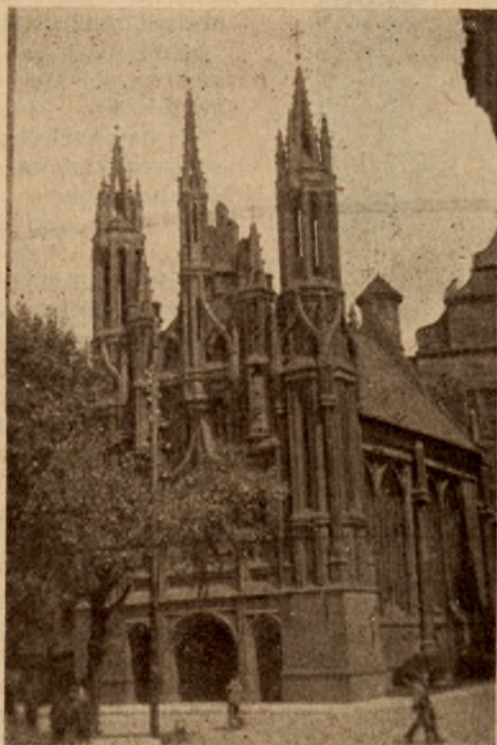
Trudno, naprawdę bardzo trudno pisać coś o zabytkach Wilna, mając do dyspozycji kilka stron. Bo jak tu wybrnąć z zadania, kiedy właściwie całe prawie Wilno, to zabytek, tyle w nim wąskich (do 2 m szerokości) zaułków ze starymi kamienicami, a o każdej niemal kamienicy możnaby pisać. Tyle w Wilnie monasterów dawnych i obecnych, klasztorów, kościołów, cerkwi, zamków. Na szczęście dla mego pióra,

z zamkami kłopot mniejszy, bo są tylko ruiny. Gdyby Wilno było tylko nad ziemią, to jeszcze pół biedy, ale — drugie Wilno jest pod ziemią, w starych lochach, korytarzach, podziemnych komnatach.

Czuję się, jak ten osiołek, któremu „w żłoby dano..." Bojąc się jednak, by i mnie nie spotkał ten koniec, co osiołka, zaczynam skubać „trochę owsa, trochę siana".

Z kościołów bajeczny jest późny t. zw. płomienisty gotyk kościoła św. Anny. — Podobno Napoleon miał powiedzieć, że, gdyby mógł, przeniósłby sobie na dłoni ten kościół do Francji. Wnętrze kościoła, niestety banalnie barokowe.

Obok kościoła św. Anny — kościół Bernardynów, również gotyk, ładne ma zwłaszcza skarpy zewnętrze, ale dużo jest późniejszych przeróbek i zeszpeceń. Przy tym kościele jest t. zw. „Scala Christi" lub pospolicie „gradusy", marmurowe schody z relikwiami krzyża św., po których wierni na klęczkach wędrują do kapliczki z figurą „Ecce Homo". Kościół św. Jana już wspomniałam, mówiąc o uniwersytecie. Katedra, hm, nie wiele się z niej dało zobaczyć, bo właściwie tylko jedną z kaplic bocznych, w której leżą odnalezione niedawno prochy Aleksandra Jagiellończyka, Barbary Radziwiłłówny i Elżbiety Rakuszanki. Dostojne trumny stoją na purpurze królewskiej — jak echa dawnej świetności Rzeczypospolitej.



Kościół św. Anny w Wilnie.
Fot. Danka Filipiakówna

Trumny odnaleziono niedawno i to przypadkiem, bo się ich tam nikt nie spodziewał, przy restauracji jednej z krypt podziemnych. Fotografie, robione przy tym odkryciu znajdują się wraz z insygniami w zakrystii katedry. I... o ironio dziejów... korona Aleksandra zieleniutka, jak świeży szpinak, bo nieuczciwy złotnik coś tam pofałszował, za to korony i naszyjniki Barbary i Elżbiety lśnią dostojnie złotem. Naszyjnik Barbary jest prześliczny! Co za misterna, pajęcza niemal robota! Ale z królewskich ozdób i szat — proch... (C. d. n.)

UDERZY GROM

Uderzy grom, piorunu grom
I dąb stuletni złamie.
Zahuczy wichr, potężny wichr
Skalne oderwie ramię.

Lecz młodych serc, gorących serc,
Co idą w jutra zorze
Nie złamie grom, nie zburzy wichr,
Potęga zła nie zmoże!...

M. Z., gimn. 643.

Wolna godzina

...Jeszcze raz poleciwszy zachowywać nam się cicho i powtarzać lekcję... wyszła!!!

Chwileczkę przezornie siedziałyśmy cicho, mogła wszak usłyszeć ze schodów i (ręka, noga, coby to było wtedy) wrócić! Ale za parę sekund już wionął szept po klasie:

— Poszła...

Serca nam weselej zabiły!

— Pysznie! Godzina nieba! Raju!

— Poszła! — ryknęłam radośnie na całe gardło, a blisko mnie siedząca, nerwowa Zośka podskoczyła jak sparzona do góry!

— Pomyślcie tylko, dziewczynki, co za dzień dzisiaj mamy! Zastanówcie się: sobota, ostatni dzień przed niedzielą, a my, jak dziewice z bajki wyzwalamy się choć na godzinę z czarów i tak zupełnie wychodzimy na wolność, jakbyśmy się wyzwoliły z władzy złej czarownicy — mówiła delikatnie „Lutek" śpiewnym głosem.

— E! Daj pokój ze swymi czarami, dziewicami i czarownicami! Chcesz cukierka? — zaproponowałam wspaniałomyślnie.

— Iii! Jakaś ty prozaiczna! Lecz niby zadania szkolne masz uduchowione i przepojone przesadną fantazją! Dziwne! Muszę się nad tym zastanowić! — i poważna Janka zatopiła się w rozmyślaniu...

Gwar rósł coraz bardziej! Baśka próbowała z początku go przekrzyczeć! Z groźną miną waliła piórnikiem w katedrę.

— Cicho dziewczynki! Bo zapiszę was, zapiszę — kręciła ołówkiem udając że zapisuje w notesie, które są niegrzeczne.

— Puf!! — z ostatniej ławki rozległ się wystrzał jakby z karabinu, a ogłupiała właścicielka pękniętego balonika stała z niemądrą miną, namyślając się czy płakać, czy się śmiać!

— Wiesz Kryśka! Świetnie że ci pękł! Będzie guma na małe baloniki!

— Daj mi kawałek.

— I mnie! — I mnie!

Teresa z przejęciem starała się wydąć z kawałka farbującej, czerwonej gumy, balonik.

Marysia opowiadała, jak to było z tym studentem, który, gdy ona swoim zwyczajem powiedziała w rozmowie z nim — klasa!!! (co znaczy to samo co: byczo!) odpowiedział grzecznie: „szósta, panno Marysiu!"

Baśka po nieudanej próbie „zagaszenia wulkanu" szklanką wody wróciła zrezygnowana na miejsce.

Skoczyłam do tablicy. Paroma silnymi kreskami nabazgrałam kilka aktualnych z życia szkoły karykatur.

Rysunek, choć beznadziejnie głupi i okropnie nabazgrany, wywołał huragan śmiechu! Byłam dumna i uniesiona tą dumą pod niebiosy... Klasa po prostu „wyła". Baśka zerwawszy się, jeszcze raz próbowała uspokoić nas trochę: — Jak będziecie tak „trąbiły", to przyjdzie Pani i amen, koniec! Biedactwo, siadła, nie odniósłszy skutku!

— Plumps!!! Rzekłam z niewypowiedzianą pogardą, odwagi trochę Barbarko! Nie można p s u ć całego nastroju dlatego, że m ó g ł b y być przez zbytni hałas zepsuty. — (Plumps ze słownika p. Hanki i jej szanownej przyjaciółki p. Zosi, to znaczy z wyrazozbioru mego i Prosi, oznacza pogardę, lekceważenie sobie zdania tego, który wywołał owe „plumps". Jest ono jeszcze mało rozpowszechnione, lecz u mnie jest stale na porządku dziennym).

Na owe pogardliwe „plumps" Baśka zamilkła, bowiem po tonie wywnioskowała jego znaczenie!

Nim skończyłam drugi rysunek, mający przedstawiać Basię z piórnikiem w „łapie", grzmiącą nim w pulpit, — Teresa zorganizowała przedstawienie!

— Tam na szczycie skał
Dumny zamek stał...

głosiła grobowym głosem słowa ballady! Nie pamiętam już jej dokładnie, lecz występował tam rycerz, który przyjechał pod zamek i robił słodkie oczy do córki władcy tego pałacu.

...— „Panna widząc rak wygięcie
Szybko wpadła mu w objęcie..."

Nagle wpadł jej papcio i zaczęli się pojedynkować.

...— Lecz gdy się tak „stra-a-a-sznie" bili,
To przez panny pierś przebili
ostateczny cios... —

wiła się Teresa, starając się nadać głosowi ton grozy, strachu i gniewu — rzeczywiście, była w tym mistrzem. Teraz następowała najlepsza scena, było to coś mniej więcej takiego:

— Padli!... Tylko w borach jęczą duchy,
Szu-u-u-mią wichry... zawieruchy...

Teresa, panna i władca zamku, naprzód upadli plackiem na ziemię, poczem, wolno machając w takt mówienia rękami, syczeli i zezowali na wszystkie strony, przewracając białkami oczu...

— Brawo! Brawo!

— Biiis! Bis, bis!!!

Klasa klaskała, tupała, na wszystkie sposoby.

Teresa kłaniała się z „dźwiękiem"!
Przedstawienie się powtórzyło!
I znowu:

...— herszt miał piękną córę
która szybko rosła w górę;
I która widząc rąk wygięcie, wpadła
szybko mu w objęcie...

Teresa zgrzała się, zmęczyła, lecz ryczała na całą klasę, podrygując, kiwając w takt głową i zezując:

A wtem wpada ojciec dumny...

Drzwi od klasy się otwarły i wpadła „stróż" ze zduszonym szeptem:

— Pani!!!

Jedna sekunda, jedno mgnienie oka, a wszystkie siedziały na swoich miejscach, sztywne, ciche i wyprostowane...

Do dziś dnia podziwiam szybkość, z jaką dało się to zrobić.

Teraz dopiero wierzę w to i rozumiem, że cały zespół potrafi wszystko zrobić, w s z y s t k o; Byleby tylko każdej jednostce na tym zależało i wykorzystywała to solidnie, prędko i dokładnie...!!!

Autentyczna wolna godzina.

Kl. II c. Gimn. 440.

Śmiech to zdrowie

Na nagrobku murarza:

„Spadł z dachu do wieczności."

*

Wedle najnowszych badań Akademii do Badania Spraw Najstarszych stwierdzono, że Iliadę napisał nie Homer, ale inny współczesny mu człowiek tegoż nazwiska.

*

Nauczyciel do ucznia:

— Co to jest próżnia Torricellego?

— Panie Profesorze, wiem, wiem; ja to właśnie mam w głowie, tylko nie umiem tego wypowiedzieć.

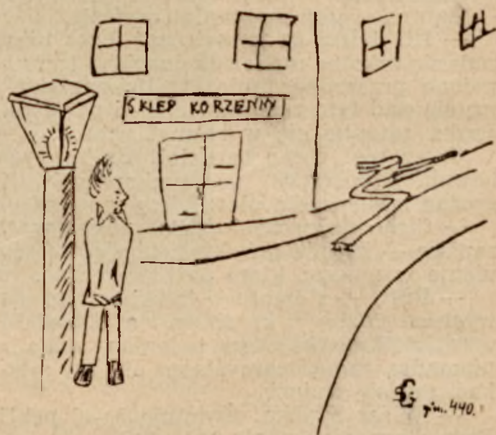
*

Kiedyś w Wiedniu, za czasów „nieboszczki Austrii" po nabożeństwie ksiądz zaintonował:

— Pomódlmy się za cesarza naszego, Franciszka Józefa...

Organista, przebudzony nagle z drzemki, odpowiedział:

— Qui fecit coelum et terram.



...I w długiej ulicy
Niknie na kształt błyskawicy.

TREŚĆ N-ru 3:

Warunki prenumeraty: rocznie 5 zł.
Numer pojedyńczy 30 gr.
Konto P. K. O. „Dziś i Jutro" 404 930.
Redaktor naczelny: Jadwiga Szarska, Warszawa, Łowicka 31.
Wydawca i red. odpow.: Jadwiga Bahr.
Adres redakcji:
Warszawa, Łowicka 31.
Czcionki i druk: Drukarnia Polska Spółka Akcyjna w Poznaniu, św. Marcin 70.